



Henryk Sienkiewicz

Hania



Kharkiv
«Folio»
2022

I.

Kiedy stary Mikołaj, umierając zostawił Hanię opiece i sumieniu memu, miałem wówczas lat szesnaście; ona zaś, młodsza niespełna o rok, również wychodziła zaledwie z lat dziecinnych.

Od łoża zgasłego dziadka odprowadziłem ją prawie przymocą i oboje udaliśmy się do naszej domowej kaplicy. Drzwi jej były otwarte; przed starym bizantyjskim obrazem Matki Bożej paliły się dwie świece, których blask słabo tylko rozwidniał mrok panujący w głębi ołtarza. Klękaliśmy jedno obok drugiego. Złamana bólem, zmęczona łkaniem, bezsennością i żalem dziecina, oparła swą biedną główkę o moje ramię i tak pozostawaliśmy w milczeniu. Godzina była późna; w sali przyległej do kaplicy, na starym gdańskim zegarze kukułka wykukała chrapliwym głosem godzinę drugą po północy; wszędy panowała głęboka cisza, przerywana tylko odległym szumem śnieżnej zawieii, wstrząsającej ołowianą oprawą okienek w kaplicy i bolesnymi westchnieniami Hani. Nie śmiałem się ozwać do niej żadnym słowem pociechy, tuliłem ją tylko do siebie, jakby już opiekun, albo brat starszy. Nie mogłem się jednak modlić; tysiączne wrażenia, uczucia rozkołysały mi serce i głowę! różnorodne obrazy przesuwały mi się przed oczyma, ale powoli z

tego zamętu wyłaniała się jedna myśl i jedno uczucie, oto, że ta bledziuchna twarzyczka z przymkniętymi oczyma, wsparta na mojem ramieniu, ta bezbronna, biedna maleńka istota, staje mi się teraz ukochaną siostrą, za którą oddałbym życie i za którą, gdyby była potrzeba, rzuciłbym rękawicę całemu światu.

Tymczasem nadszedł brat mój młodszy Kazio i klęknął za nami, a potem ksiądz Ludwik i kilkoro ludzi ze służby. Odmawialiśmy pacierz wieczorny, wedle codziennego u nas zwyczaju. Ksiądz Ludwik czytał głośno modlitwy, a my powtarzaliśmy je za nim lub odpowiadaliśmy chórem w litanią; ciemna zaś twarz Matki Bożkiej z dwoma cięciami szabli na policzku, poglądała na nas dobrotliwie, zdawała się brać udział w rodzinnych naszych troskach, zmartwieniach, doli i niedoli, i błogosławić wszystkich u Jej stóp zebranych. Przy modlitwie, gdy ksiądz Ludwik zaczął wymieniać zmarłych, za których odmawialiśmy zwykle „wieczny odpoczynek“ i dołączył do nich imię Mikołaja; Hania poczęła łkać głośno nanowo, ja zaś wykonałem sobie w duszy cichą przysięgę, że zobowiązań, jakie na mnie włożył nieboszczyk, święcie dochowam, choćby mi to kosztem największych ofiar wykonać przyszło. Był to ślub młodego egzaltowanego chłopaka, nie rozumiejącego jeszcze ani możliwej wielkości ofiar, ani odpowiedzialności, ale nie pozbawionego szlachetnych porывów i tkliwych uniesień duszy.

Po skończonym pacieryu rozeszliśmy się na spoczynek. Poleciłem starej Węgrowskiej, gospodyni, aby odprowadziła Hanię do pokoiku, w którym odtąd miała mieszkać, nie zaś, jak zwykle, do garderoby, i żeby pozostała z nią razem przez całą noc; sam zaś, ucałowawszy serdecznie sierotkę, udałem się do oficyny, w której mieszkałem razem z Kaziem i księdzem Ludwikiem, a którą nazywano w domu stancyą. Rozebrałem się i położyłem do łóżka. Mimo żalu za Mikołajem, którego kochałem serdecznie, czułem się dumny i szczęśliwy niemal ze swojej roli opiekuna. Podnosiło mnie to we własnych oczach, że ja szesnastoletni chłopak, miałem już być podporą dla jednej słabej i biednej istoty. Czułem się mężczyzną. Nie zawiedziesz

się pocziwy starcze, myślałem sobie, na twym paniczu i dzie-
dzicu: w dobre ręce złożyłeś przyszłość twojej wnuczki i mo-
żesz spać spokojnie w mogile. Istotnie o przyszłość Hani byłem
spokojny. Myśl, że Hania czasem dorośnie i że trzeba ją będzie
wydać zamaż, nie przychodziła mi wtedy do głowy. Myślałem
sobie, że zawsze zostanie przy mnie, otoczona staraniami jak
siostra, kochana jak siostra, smutna może, ale spokojna. Wedle
odwiecznego zwyczaju, najstarszy syn brał przeszło pięć razy
tyle majątku, ile młodsze rodzeństwo; młodszy zaś synowie i cór-
ki szanowali ten zwyczaj i nigdy nie występowali przeciw nie-
mu, jakkolwiek nie było w rodzie naszym prawnego majoratu.
Byłem najstarszym synem rodziny, a zatem większość majątku
miała w przyszłości należeć do mnie; jakkolwiek więc student
jeszcze, poglądałem już nań, jak na swoją własność. Ojciec na-
leżał do majątniejszych w okolicy obywateli. Ród nasz nie od-
znaczał się wprawdzie bogactwem magnatów, ale ową wielką
starszylacką zamożnością, dającą chleba wbród i żywot
cichy, dostatni, w rodzinnym gnieździe aż do śmierci. Miałem
więc być względnie bogaty i dlatego ze spokojem patrzyłem w
przyszłość tak swoją, jak i Hani, wiedząc, że jakkolwiek doła
ją czeka, zawsze przy mnie znajdzie spokój i oparcie, jeżeli go
będzie potrzebować.

Z temi myślami usnąłem. Nazajutrz rano począłem wpro-
wadzać w czyn powierzoną mi opiekę. Ale w jakiżto czyniłem
sposób śmieszny i dziecinny! a jednak dziś, gdy to sobie przy-
pomnę, nie mogę się oprzeć pewnemu rozczuleniu. Gdy przy-
szliśmy z Kaziem na śniadanie, zastaliśmy już siedzących przy
stole: księdza Ludwika, madame d'Yves, naszą guwernantkę i
dwie moje małe siostrzyczki, siedzące, jak zwykle, na wysokich
trzciniowych krzesłach, przebierające nóżkami i gwarzące we-
soło. Rozsiadłem się z nadzwyczajną powagą na krzesło ojca i
rzuciwszy okiem dyktatora na stół, zwróciłem się do posługują-
cego chłopaka i rzekłem sucho a rozkazująco:

— Nakrycie dla panny Hanny.

Na wyrazie „panna“ położyłem umyślny nacisk.

Tego dotąd nigdy nie bywało. Hania zwykle jadała w garderobie, bo jakkolwiek matka moja życzyła sobie aby siadała razem z nami, stary Mikołaj nigdy na to nie chciał pozwolić, powtarzając: „Na co to się zdało; niech zna mores dla państwa. Jeszcze czego!“ Teraz ja wprowadziłem nowy zwyczaj. Pocziwy ksiądz Ludwik uśmiechnął się, pokrywszy uśmiech szczyptą tabaki i fularową chustką od nosa; pani d’Yves skrzywiła się, bo mimo dobrego serca, jako pochodząca ze starej rodziny szlacheckiej francuzkiej, wielką była arystokratką; chłopak zaś usługujący Franciszek, otworzył szeroko usta i patrzył na mnie ze zdziwieniem.

— Nakrycie dla panny Hanny! czy słyszysz? — powtórzyłem.

— Słucham wielmożnego pana — odpowiedział Franciszek, któremu widocznie zaimponował ton, jakim do niego mówiłem.

Dziś wyznaję, że i „wielmożny pan“ zaledwie mógł powstrzymać uśmiech zadowolenia, jaki na usta jego wywoływał nadawany mu poraz pierwszy w życiu ten tytuł. Powaga jednak nie pozwoliła wielmożnemu panu się uśmiechnąć. Tymczasem nakrycie za chwilę było gotowe, otworzyły się drzwi i weszła przez nie Hania; ubrana w czarną suknię, którą przez noc uszyły jej panna służąca i stara Węgrowska: blada, ze śladami łez na oczach i ze swemi długimi złotemi warkoczami, które spływały po sukience i kończyły się wstążeczkami z czarnej żałobnej krepy, wplecionej między promienie włosów.

Powstałem i pobiegłszy ku niej, przyprowadziłem ją do stołu. Starania moje i cały ów splendor zdawały się tylko zawstydzać, mieszać i męczyć dziecinę; ale nie rozumiałem jeszcze wówczas, że w chwili smutku, cichy, samotny, odludny kącik i spokój więcej jest wart, niż hałaśliwe owacye przyjaciół, choćby z najlepszego serca płynące. Dręczyłem tedy Hanię w najlepszej wierze swoją opieką, sądząc, że wywiązuję się ze swego zadania doskonale. Hania milczała i tylko od czasu do czasu odpowiadała na moje pytania: co będzie jadła i piła?

— Nic, proszę łaski panicza.

Zabolało mnie owo: „proszę łaski panicza,“ tym bardziej, że zwykle Hania była ze mną poufalsza i mówiła mi poprostu:

„paniczu.“ Ale właśnie rola, jaką odgrywałem od wczoraj, i odmienne warunki, w jakich postawiłem Hanię, czyniły ją tem nieśmielszą i pokorniejszą. Zaraz po śniadaniu wziąłem ją na bok i rzekłem:

— Haniu, pamiętaj, że odtąd tyś moją siostrą. Odtąd nie mów mi nigdy: proszę łaski panicza.

— Dobrze, proszę łask... dobrze paniczu.

Byłem w dziwnem położeniu. Chodziłem z nią po pokoju i nie wiedziałem co z nią mówić. Radbym był ją pocieszać, ale na to trzeba było wspomnieć Mikołaja i wczorajszą śmierć jego, co by Hanię do nowych łez przywiodło i byłoby tylko odnowieniem bóleści. Skończyło się więc na tem, że siedliśmy oboje na niskiej kozetce, stojącej w końcu pokoju; dziecina znowu oparła główkę o moje ramię, ja zaś począłem gładzić ręką jej złote włoski.

Tuliła się do mnie rzeczywiście, jak do brata, i może owe słodkie uczucie ufności powstające w jej sercu, wywołało nowe łzy w jej oczach. Płakała rzewnie, ja zaś pocieszałem ją jakem umiał.

— Znowu płaczesz, Haniułko? — mówiłem — dziadek twój w niebie, a ja się będę starał...

Nie mogłem i ja mówić dłużej, bo i mnie się na łzy zbierało.

— Paniczu, mogę ja do dziadzi? — wyszeptła.

Wiedziałem, że przyniesiono trumnę i że teraz właśnie kładziono w nią Mikołaja; dlatego nie chciałem, żeby Hania poszła do ciała dziadka pierwej, nim wszystko będzie gotowe. Ale za to poszedłem sam.

Po drodze spotkałem panią d'Yves, którą prosiłem żeby zaczekała na mnie, ponieważ potrzebuję z nią chwili rozmowy. Wydawszy ostatnie rozporządzenia pogrzebowe i pomodliwszy się u zwłok Mikołaja, wróciłem do Francuzki i po kilku wstępnych słowach, prosiłem ją, czyby po jakimś czasie, kiedy pierwsze tygodnie żałoby przejdą, nie chciała dawać Hani lekcji francuzkiego i muzyki.

— *Monsieur Henri*, — odpowiedziała pani d'Yves, którą widocznie gniewało, że rozporządzam się wszędzie, jak szara gęś po niebie — ja uczyniłabym to najchętniej, bo kocham bardzo

tę dziewczynkę, ale nie wiem, czy to leży w zamiarach rodziców pana, jak również nie wiem, czy zgodzą się na rolę, jaką pan usiłujesz samowolnie nadać wśród waszej rodziny tej maleńkiej. *Pas trop de zèle, monsieur Henri.*

— Ona jest pod moją opieką — odrzekłem wyniośle — i ja za nią odpowiadam.

— Ale ja nie jestem pod opieką pana — odparła pani d'Yves — i dlatego pozwoli pan, że zaczekam aż do powrotu pańskich rodziców.

Rozgniewał mnie ten upór Francuzki, ale szczęściem, nie-równie lepiej poszło mi z księdzem Ludwikiem. Poczciwy księ-żysko, który i tak poprzednio już uczył Hanię, nie tylko że się zgodził na dalsze i obszerniejsze jej kształcenie, ale jeszcze pochwalił mnie za moją gorliwość.

— Widzę — mówił — że szczerze bierzesz się do spełnienia swego zadania, a jakkolwiek jesteś młodym i dziecko jeszcze, ale ci się to pochwała; pamiętaj tylko, tak być wytrwałym, jak gorliwym.

I widziałem, że ksiądz kontent był ze mnie. Rola pana domu, jaką sobie nadawałem, bawiła go raczej, niż gniewała. Widział staruszek, że dużo było w tem wszystkim dzieciństwa, ale powody uczciwe, więc dumny był i cieszył się z tego, że jego posiew rzucony w moją duszę, nie marniał. Zresztą kochał mnie stary ksiądz bardzo; ja zaś, o ile z początku, za lat zupełnie dziecinnych, bałem się go z całej duszy, o tyle teraz, w miarę jak dochodziłem do lat młodzieńczych, zawojowywałem go coraz bardziej. Miał do mnie słabość, więc pozwolił sobą powodować. Hanię też kochał i rad był los jej, o ile leżało w jego mocy, polepszyć, z jego więc strony nie spotkałem najmniejszego oporu. Pani d'Yves w gruncie rzeczy miała dobre serce, i również, jakkolwiek trochę na mnie rozgniewana, otoczyła Hanię troskliwością. Jużto na brak serc kochających, nie mogła się sierota uskarżać. Służba nasza poczęła ją traktować inaczej: nie jak koleżankę, ale jak panielkę. Wola najstarszego syna w rodzinie, choćby nawet i dziecka, była u nas bardzo szanowana. Tego wymagał i mój ojciec.

Od tej woli służyło prawo apelacyi do starszego pana i starszej pani, ale nie wolno było sprzeciwiać się jej bez upoważnienia. Najstarszemu synowi również nie wolno było mówić inaczej, jak „paniczu“ od najmłodszych lat jego. Służba, równie jak i młodsze rodzeństwo, wdrażane było do szacunku dla najstarszego, a szacunek ten pozostawał potem na całe życie. „Tem stoi rodzina,“ mawiał mój ojciec, i istotnie, skutkiem tego, dobrowolny, a nie oparty na prawie układ rodzinny, mocą którego najstarszy miał więcej majątku od młodszych, utrzymywał się oddawna. Była to rodzinna tradycja, przechodząca z pokolenia na pokolenie. Ludzie przywykli byli patrzeć na mnie jak na przyszłego pana, a uczuciu temu nawet nieboszczyk stary Mikołaj, któremu wszystko było wolno i który jeden tylko nazywał mnie po imieniu, nie mógł się do pewnego stopnia oprzeć.

Matka trzymała w domu apteczkę i sama nawiedzała chorych. W czasie cholery spędzała całe noce w chatkach włościańskich wraz z doktorem, narażając się na śmierć niechybną, a ojciec, który o nią drżał, przecie jej tego nie bronił, powtarzając: „obowiązek, obowiązek.“ Zresztą i sam ojciec, lubo surowy, dawał zapomogi; nieraz darowywał robociznę, przebaczał, mimo wrodzonej popędliwości, winy łatwo; płacił nieraz długi za włościan, sprawiał wesela, trzymał dzieci do chrztu; nam kazał ludzi szanować, starym zaś gospodarzom na ich powitanie odpowiadał czapką: ba! często nawet wzywał ich na naradę. Ale też nie można inaczej powiedzieć, jak to chłopcy przywiązani byli do całego rodu bardzo, czego później niejednokrotnie wyraźnie złożyli dowody.

Mówię to wszystko dlatego, raz aby odmalować wiernie, jak to u nas jest i bywało; powtóre, aby okazać, że w kreowaniu Hani na „panienkę“ nie spotkałem wielkich trudności. Najwięcej biernego oporu spotkałem w niej samej, bo dziecinka zbyt była lękliwą i w zbytnej czci dla „państwa“ przez samego Mikołaja wychowaną, aby z łatwością mogła się ze swoim losem pogodzić.